

Moja siostra pogarda

14 stycznia 2012

Nigdy nie zapomnę materiału telewizyjnego, przygotowanego przez jedną z wiodących prywatnych stacji, gdy otwarto słynny już peron we Włoszczowej. Szczególnie utkwiła mi w głowie scena, gdy zapytano o zdanie mieszkańców. Dziwnym trafem, jako grupę reprezentatywną wybrano kilku panów zmęczonych życiem, słabo mówiących w ojczystym języku i wyraźnie podlanych alkoholem. Było to jak mrugnięcie okiem do odbiorcy: patrzcie, dla takich osobników marnuje się pieniądze podatnika.

W zmasakrowanym przez bogoojczyźniane deklamacje wierszu „Przesłanie Pana Cogito” poeta zapisał gwałtowne słowa: „niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda / dla szpiclów katów tchórzy – oni wygrają”. Przyznam, że do katalogu tych nieprzyjemnych person dodałbym jeszcze – przykładowo – wykonawców i zamawiających wzmiankowany wyżej materiał „informacyjny”. I całe rzesze im podobnych pomagierów, piewców i pożytecznych idiotów w służbie realnego liberalizmu.

To są rzeczy powszechnie znane, ale warto o nich czasem przypomnieć: jeśli chcecie poczytać lub obejrzeć film o losach ofiar transformacji, np. z popegeerowskiej wsi, dostaniecie z reguły w zestawie obskurny sklep, a przed nim paru leniwych i roszczeniowych pijaków, płaczących rzęsiście za Gierkiem (nie wiedzą, że w dobrym tonie jest płakać ewentualnie po Wilczku). Będą to typy budzące politowanie i praktycznie pozbawione cech osobowościowych. Nawet ustawieni na pierwszym planie byli chłoporobotnicy, czyli „pańszczyźniani”, muszą sprawiać wrażenie statystów (uwielbiam, gdy słowo „pańszczyźniani” z uroczą kon-liberalną wyższością wymawiają czytelnicy i epigoni redaktora Ziemkiewicza, każdy jak wiadomo pan z panów i magnat z magnatów).

Bo, w gruncie rzeczy, w porządku ideologicznym i społeczno-ekonomicznym III RP nieudane dzieci transformacji są wyłącznie

szarą masą, nawozem pod nowy, wspaniały świat. Gdzie drwa rąbią, wióry lecą, konieczne koszty transformacji, itd., itp.; liczy się ekonomia, elastyczność, e-zdolności, ewentualnie znajomości. Może te ostatnie najbardziej. A jakimi znajomościami może dysponować były pracownik PGR, z organizmem zniszczonym wieloletnią harówką dla Polski Ludowej? Teraz nieszczęsny w wójcie swojej gminy ledwie rozpozna dawnego towarzysza sekretarza, który kocha(ł) tamtą i tę Polskę: miłością trochę może szorstką, w pewnych kręgach nazywaną brzydko pieprzeniem. Jakie znajomości może mieć były szeregowy członek „Solidarności”, dziś pechowo rencista? Pod baldachimem obnoszą proboszcza dawni partyjniacy i lokalni „liderzy opozycji”, on stoi w kościele daleko z tyłu. No i dobrze, przynajmniej jest jak w Ewangelii. Jakie znajomości może mieć szwaczka z Łodzi, zatrudniana „z łaski” na czarno, samotnie wychowująca dwójkę, trójkę dzieci? Pech, ma tylko podniszczone mieszkanie w zabiedzonej kamienicy, a w nim kolorowy telewizor. Na szczęście są jeszcze polskie seriale. Kochamy polskie seriale – to dzisiejsze opium dla ludu.

A właśnie, co do „koniecznych kosztów transformacji”: dziwnym trafem ponieśli je nie architekci owego procesu, lecz rzesze kobiet i mężczyzn (na kogo wypadnie, na tego bęc!). Otóż te rzesze muszą być szare, sformatowane, niezbyt widoczne i nie nazbyt wyraziste, bo gdyby ci ludzie mieli swoje twarze, własne życiorysy, ludzkie przeżycia, aspiracje, tęsknoty, dramaty i namiętności – rozerwaliby linię i melodię transformacyjnej kołysanki; mantry, usypiającej społeczne sumienie. To muszą być „nierobotni popegeerowcy”, zniszczeni ludzie z Włoszczowej, w domyśle śmierdzące lenie i nieroby, życiowe niedojdy i patałachy – zupełnie inny gatunek człowieka, niż biznesmeni o szerokich karkach (mdliło mnie na ich widok w latach 90.), panowie publicyści kręcący nosami na miejską komunikację („Boże, jak tam śmierdzi!” – bo śmierdzi im ta masa człekokształtna, albo polakopodobna, albo nieeuropejska), pretensjonalne damulki od charytatywy-recydywy i synkowie i córuchy beneficjentów transformacji, po

rodzicach dziedziczący zwykle pogardę do państwa i zdolność żerowania na nim – da się przecież jeszcze coś wydoić z tej wychudłej krowy mlecznej rasy biało-czerwonej, nazywanej Polską.

I jak ma mnie nie opuszczać moja siostra pogarda, gdy na co dzień i od święta widzę to rozpanoszone towarzystwo, bucowate i zadowolone z siebie, przekonujące (nie tylko) z wiodących gazet i telewizji, że najlepszym remedium na nędzę prywatyzacji jest jeszcze więcej prywatyzacji, że liczy się jedynie osobista korzyść i sukces, albo że lewicowość jest akceptowalna, gdy kolorowa i bez jaj, a Polska to i owszem, ale pod warunkiem, że w pakiecie weźmiesz „Solidarność”, lecz z Akcji Wyborczej, wolny rynek, miłość do Margaret Thatcher i uroczy slogan przyjemniaczków tnących gałąź, na której siedzą: „Donald, gdzie są niskie podatki, koleżko?”. Jak to gdzie są? Tam, gdzie być powinny, czyli w kieszeni bossów, u których robicie za pożytecznych idiotów.

Jak ma mnie opuścić moja siostra pogarda, gdy jedyną odpowiedzią na skrzek rzeczywistości jest bicie w bogoojczyźniane tam-tamy (prędzej niebo spadnie nam na głowę, niż zmienią Polskę na lepsze ronda i ulice Jana Pawła II i „Solidarności”), albo „tout va bien”, wyśpiewywane przez medialnych dandysów za odpowiednio gruby szmał. Jak nie odczuwać pogardy wobec powszechnych praktyk budowania coraz wyższych murów milczenia wokół wszystkiego, co wypada poza obraz Polski, sformatowanej pod interesy oligarchów i polityków?

Przed świętami do furtki zadzwonił mężczyzna w średnim wieku. Zapytał o złom, zostawił wizytówkę: „Zbyszek. Wywóz ZłOMU, sprzątanie piwnic i strychów”. Wysoki, solidnie zbudowany mężczyzna. Pomyślałem, jak dobrze byłoby opisać jego historię i filozofię życia. Czy zbieraniem złomu zarabia na rodzinę? Na chleb i mleko dla dzieci? Na alkohol i papierosy? Na jedno i drugie? Gdzie mieszka? Ile zarabia? Na co wydaje pieniądze? Czy jeździ na wakacje? Jaki ma zawód wyuczony? Kim jest?

Oczywiście, pana Zbyszka nikt nie zaprosi na galę small biznesu. Podobnie wrocławskich biedaszybników. A to przecież tacy właśnie ludzie radzą sobie jak potrafią w polskiej rzeczywistości, wypychani na margines, oficjalnie nieobecni. Bo nie pasują ani do współczesnej propagandy sukcesu, ani do „stylu życia”, wedle którego nawet ubogi absolwent prywatnej uczelni, z taką sobie znajomością języka obcego, powinien starać się o pracę – bo ja wiem – marketingowca, pracownika mediów, handlowca. I w tanim garniturze, oblepiony potem i wymuszoną przebojowością sprzedawać ludziom polisy na życie, albo na godny pogrzeb. I patrzeć z góry na pana Zbyszka, taszczącego z kolegą z czyjejs piwnicy stary, zakamieniony i zardzewiały bojler.

W najgorszym razie taki absolwent prywatnej uczelni może podawać frytki w MacDonalddie, tam zaczynając karierę od „pucybuta do milionera”. A jeśli pechowo nie zostanie milionerem? To załapie się może na zarobki w okolicach dwóch tysięcy z hakiem i szczęśliwy założy rodzinę. Albo wyjedzie lub zasili szereg „niewidzialnych Polaków”. Wtedy jego dzieci będą dostawać „szlachetną paczkę” na Boże Narodzenie i oglądać w telewizji tłustego Santa Clausa z reklamy wiodącego napoju gazowanego: jowialnego i dobrodusznego jak wszystkie dobrodziejstwa realnego liberalizmu razem wzięte. I będą klaskać w łapki Santa Clausowi, nie wiedząc, że robią to ku czci potwora. Tak to już bywa nie tylko w horrorach. A może któregoś pięknego dnia, gdy już nasz absolwent lekko posiwieje, podejdzie na ulicy do podstarzałego już pana Zbyszka i zapyta, czy nie mógłby mu pomóc pchać wózka ze złomem. Bo PKB, owszem, wciąż rośnie, ale akurat jego nie stać na lekarstwa dla żony, która właśnie ciężko zachorowała, z pewnością wskutek programowego nieróbstwa i objadania się cukierkami, jak to zwykle wedle liberałów chorują ludzie biedni.

Oczywiście, ktoś powie, że całą tę historię wyssałem sobie z palca. Cóż, nie da się ukryć, że prawdziwy jest tylko pan

Zbyszek i jego wizytówka w moim portfelu. Bo przecież – w rzeczywistości – PKB rośnie, ten milion, co wyjechał na emigrację zarobkową, to tylko tak dla hecy, rozwarstwienie wcale nie wzrasta, biednych nie widać w galeriach handlowych (a jeśli już to są to pijacy, a każdy pijak to menel i złodziej), ani na zamkniętych osiedlach, a pani zza lady w spożywczaku zawsze jest uśmiechnięta. Któraś już z rzędu pani: bo uśmiech zostaje, zmieniają się tylko jego – że tak to nazwę – nosicielki. Cóż, takie czasy, nic nie poradzimy, że ładny uśmiech ważniejszy dziś od człowieka.

A gdy tak mnie męczy moja siostra pogarda i ten uśmiech realnego liberalizmu, biorę do ręki wizytówkę pana Zbyszka i mimo wszystko rażniej robi mi się na duszy. Bo ta wizytówka jest jak kawałek rzeczywistości, rozsadzający śpiewną transformacyjną kołysankę.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Krzysztof Wołodźko (ur. 1977) – na ogół publicysta, bloger (www.consolamentum.salon24.pl). Pisał i/lub pisze m.in. do „Trybuny”, „Pressji”, „Znaku”, portalu ngo.pl. Uczestnik cyklu dokumentalnego „System 09” i „System: rewolucja Solidarności”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.